

„Panie Edwardzie”

Pan Edward wyszedł z domu. Cóż, dom to za dużo powiedziane, a i z tym wyjściem to tak nie do końca. Bo czy można nazwać domem „mieszkanie” o powierzchni 16 m² składające się z pokoju z aneksem kuchennym i odrębnej łazienki? Wściekle jasne, jakby to zupełnie nie był pokój w pensjonacie, a w innej, niesławnej instytucji rymującej się z imieniem Patryk. Pensjonat. Też coś. Mówią na to „mieszkanie chronione” – tak jakby mieszkańców trzeba było chronić przed światem zewnętrznym. A może przed nimi samymi. No tak, w końcu jest modelowym „mieszkańcem”. Posiada umiarkowany stopień niepełnosprawności, liczy sobie 70 lat, ale jednocześnie nie wymaga usług w zakresie świadczonym przez jednostkę całodobowej opieki. Najwyraźniej oni wszyscy uznali, że zamiana jednorodzinnego domku na wsi na powierzchnię 16 prywatnych metrów w środku miasta jest jak złapanie Pana Boga za nogi. Cóż, według Edwarda ten Bóg ma akurat grzybicę i wolałby takich szans nie chwycić. A przynajmniej nie gołymi rękoma. Niestety nie do końca od niego zależała decyzja w tej kwestii. To znaczy oczywiście „*nie możemy pana do niczego zmusić, panie Edwardzie*” i „*proszę sobie to spokojnie przemyśleć i przekalkulować*”, a także „*nasi mieszkańcy naprawdę rekomendują ten styl życia i myślę, że szybko odnalazłby się pan w naszej małej społeczności*”. „*Dalej tato, przecież nie możesz do końca życia mieszkać sam na tym odludziu*”. „*Czy nie byłoby ci wygodniej? Nie musiałbyś dźwigać drewna i codziennie rozpalać ognia w piecu, tam jest wszystko zapewnione*”.

I co u licha miał robić całymi dniami w mieszkaniu chronionym pensjonatu „Jesiotr”, skoro nie musiał już karmić kur, psa, rozpalać ognia, dźwigać drewna? Mógł przecież wybierać się na spacer, w końcu „*to nie jest więzienie, panie Edwardzie*”. Oczywiście mógł wyjść. Spacerkiem po drożdżówkę. Bez psa. Wdychać spaliny i smog zamiast zapachu żywicy. „*Organizujemy wiele wspólnych aktywności integracyjnych, panie Edwardzie*”. Wspaniałe możliwości – granie w szachy z Mietkiem spod 20, może przyłączenie się do chóru prężnie działającego przy pensjonacie. Co prawda repertuar raczej pieśni kościelnych, a częste próby niosły się echem po całym budynku. No ale to przecież wspaniała integracja. Organizowanie Walentynek, wyjazdów do term i saun, gdzie same obwisłe i blade cielska trzęsły się z każdym drobnym ruchem. „*To dla zdrowia, panie Edwardzie*”. Z tych wszystkich cudownych zajęć Edward najczęściej rezygnował. Lubił własne towarzystwo. No cóż, własne i psa, którego niestety nie mógł zabrać ze sobą. W pensjonacie mieszkańcami byli wyłącznie ludzie, posiadanie zwierząt było zabronione ze względów

higienicznych (czy poznali Romualda i jego nieumiejętność korzystania ze swojej prywatnej łazienki?) oraz ze względu na hałas (prawdę powiedziawszy Bożena z mieszkania 4 w ciągu dnia wydaje więcej dźwięków niż Wilczur w całym tygodniu, nie wspominając o chórze). A więc Edward cenił sobie już tylko swoje towarzystwo. Rezygnował z wspólnych zajęć na rzecz, trzeba przyznać, wygodnej kanapy i małego telewizora, który nie był na wyposażeniu mieszkania, wolno było jednak zabrać go z domu lub kupić nowy. Jedyna namiastka starego domu. I nie chciał słyszeć o wizycie w elektromarkecie aby „*wybrać taki większy, żeby ci się wygodniej oglądało tato, bo wzrok już w końcu trzeba oszczędzać*”. Powiedział to syn Arek z wadą wzroku +2.5 w jednym oku i noszący soczewki. Bo przecież codzienne wkładanie palca w oko jest teraz bardziej modne niż solidne okulary. „*Tato, ale na soczewkach przynajmniej nie usiądziesz i nie złamiesz ich*”. Arek zdążył już najwyraźniej zapomnieć, że w tym tygodniu szukał na kłęczkach soczewki, która po prostu wypadła mu z oka i utknęła gdzieś w gęstym dywanie.

A więc Edward miał do wyboru naprawę wiele możliwości. Tak wiele, że z reguły to właśnie programy telewizyjne towarzyszyły mu przez większą część dnia. Bardzo lubił wychodzić też po świeżą drożdżówkę. Co prawda cukiernia była dość daleko, a sprzedawczyni tak zaangażowana w pracę jak leniwce ze „Zwierzogrodu”. Widział tę bajkę już 5 razy. Prawie 6, ale w połowie wnuczek miał mały incydent związany z upadkiem. W trakcie jednej z piosenek zaczął skakać po łóżku. Upadł i rozciął łuk brwiowy. Pawełek zaliczył trzy szwy i wyszedł z gabinetu całkiem dumny z siebie. Podobnie zareagował Edward. Kto w tym wieku nie miał pozdzieranych kolan, wytartych spodni i sińców. Wnuczek chwalił się kolegom w przedszkolu i dzielnie pokazywał ranę – świadectwo wielkiej przygody i odwagi. Jednak wkrótce po tym zajściu Edward coraz mniej czasu spędzał z Pawełkiem. Nie dokończyli już szóstego seansu „Zwierzogrodu”.

Inna sprawa była z psem. Wilczur tak naprawdę nie był wilczurem. Nazwał go tak po bohaterze ulubionego filmu. „Znachor” to klasyk i nikt nie powie mu, że te nowe badziewie w kinach jest czegoś warte. W każdym razie pies przypałał się na jego podwórko w Lany Poniedziałek i Edward pamiętał, że pogoda tego dnia iście zobowiązywała. Lało jak z cebra gdy na jego ganku pojawił się średniej wielkości brązowy pies. Akurat w telewizji wybrzmiały najważniejsze słowa: „*Proszę państwa, Wysoki Sądzie, to jest profesor Rafał Wilczur*”. I tak zostało. Od tej pory miał psa. Początkowo Edward zaangażował się w stworzenie psu najlepszej budy – ocieplanej, z kojcem i sporym wybiegiem. No miejsce psa jest przecież w budzie, prawda? I może faktycznie przeciętny, wiejski Burek przesiadywał

całe dnie na dworze. Wilczur jednak leżał u wejścia domu i tęsknie patrzył tymi wielkimi ślepiami w stronę kominka. Raz, kiedy mrozy były naprawdę siarczyste, Edwardowi żal się zrobiło tego futrzaka i wpuścił do środka. Ale tylko na korytarz. Ani kroku dalej Wilczur, miejsce psa jest na dworze! Szybko okazało się jednak, że miejsce psa jest na wielkim posłaniu koło kominka, tak miękkim, że czasem Edward przeklinał ten psi żywot. Kto to widział, żeby zwierzę miało takie wygody i poduszkę bardziej miękką niż właściciel. Czasem mruczał pod nosem, że niewdzięczny futrzak nawet nie wie ile ma szczęścia. Jednak w duchu Edward był bardzo przywiązany do zwierzęcia i gruncie rzeczy cieszył się, że ogoniasty przyjaciel obrał sobie akurat jego podwórko za koniec tułaczki. Brak Wilczura to chyba jedna z najtrudniejszych rzeczy do zniesienia w tym sławetnym już apartamencie.

Wracał z cukierni. Tym razem musiał uraczyć się jagodzianką. Na drożdżówkach z budyniem które brał zazwyczaj wypatrzył długi, kręcony włos. Miał podejrzenie, że ekspedientka może przejadać znaczną część wynagrodzenia. I że kartoniki po wypiekach są doskonale oczyszczone z drobin lukru jakie spadły z drożdżówek. No cóż. Do kawy będzie jagodzianka. Wchodził już do swojego mieszkania, a raczej stał przed drzwiami i jak zwykle walczył z tymi cholernymi kluczami. Więcej zamków nie mogli tu zainstalować, naprawdę. Może sfrustrowane pomruki Edwarda, a może hałas jaki wydawał ten przypięty do kluczy breloczek sprawił, że na korytarzu znikąd pojawiła się pani kierownik.

— Dzień dobry, Panie Edwardzie! Już dawno miałam pana złapać! – krzyknęła radośnie.

— A to pani. Dobry, dobry... – wydusił z siebie, wciąż grzechocząc kluczami.

— Panie Edwardzie, zastanawiałam się czy nie odwiedziłby mnie pan w moim gabinecie? – z nadzieją w głosie zaproponowała kierowniczką.

Edward stanął jak zamurowany.

— Ale że teraz?

— Chyba nie pan tak napiętego harmonogramu dnia, żeby nie móc pozwolić sobie na kawę w moim towarzystwie?

— Mam tylko jedną jagodziankę. Możemy przekroić jakoś na pół albo...

— Spokojnie, panie Edwardzie.

A więc Edward poczłapał za panią kierownik, jak baranek na rzeź. Nie pomagała mu świadomość, że właśnie przegapił powtórkę „Rancza” na rzecz tego spotkania o wątpliwej

przyjemności. Czuł w kościach, że coś się tu święci. Nie trzeba być Einsteinem, żeby wiedzieć, że zwykły mieszkaniec nie codziennie pije kawę w towarzystwie administracji. Biuro pani kierownik było urządzone przytulniej niż jego mieszkanie. Gdzieniedzie roślina, zdjęcia, laurki na tablicy korkowej. Było czuć, że oprócz pracy zawodowej pani kierownik ma udane życie prywatne. Była jeszcze młoda, tryskała energią i wciąż realizowała nowe pomysły i inicjatywy. Wszelkie wyjazdy integracyjne, chór i ten nieszczęsny klub książki były jej dziełem. Edward zawsze lubił dobrą lekturę. Kryminały autorów takich jak Ludlum czy Coben były mu doskonale znane. Nawet Läckberg przypadła mu do gustu. Dan Brown też pisał dobrze i Edwarda ciekawiło co też naprawdę kryje się w podziemiach Watykanu. Udał się więc na jedno spotkanie klubu, z nadzieją że porozmawia z kimś o czwartym tomie serii o Fjällbace albo chociaż o trylogii Millenium. Niestety spotkanie składało się z pięciu kobiet, herbaty i ciastek i dyskusji na temat powieści Magdaleny Witkiewicz. Kimkolwiek była ta persona. Zawiedziony Edward Niestety nie wyniósł z klubu książki tego, czego oczekiwał. Tylko pięć ciastek i hektolitry herbaty w żołądku. Podobno w pensjonacie każdy senior znalazłby coś dla siebie. Bo jeśli nie książki, to może chociaż szachy. A jeśli nie gry planszowe, to wspólne wyjścia na nordic walking. Do dziś zachodzi w głowę po co komu te kije i dlaczego nie można iść normalnie jak człowiek. Seanse filmowe i wyjazdy do kina? Na nowości Patryka Vegi. Chór pieśni kościelnych. Wyjazdy do spa. Poranna joga. Tak wypinać się na macie to Edward na pewno nie będzie. Być może jego brak aktywności pani kierownik odbierała personalnie. W końcu nie po to pozyskiwała środki, załatwiała wygodne autokary, stawiała na głowie, by każdy senior był zadowolony z oferty. I każdy kto chciał tu zamieszkać chyba naprawdę był.

Rozmowa z panią kierownik przebiegła życzliwie i spokojnie, a gdyby tak wypić kieliszek wódki po każdym wesołym „panie Edwardzie”, byliby pijani w ciągu kilku minut. Kawa i pół jagodzianki zniknęły dość szybko i w ich miejsce pojawiły się pytania. Czy na pewno dobrze się tu odnajduje? Czy nie ma konfliktów z innymi mieszkańcami? A może tęskni za rodziną? Bo przecież tu można przyjmować odwiedziny. Edward artykułował frazesy takie jak „wszystko dobrze” i „jestem zadowolony”, ale w duchu miał ochotę wykrzyknąć, że jego tu wcale nie powinno być! Nigdy nie chciał i nigdy nie prosił o to, by go tu umieścić. Jednak własnoręczne podpisy pod wnioskiem o przydzielenie mieszkania chronionego i na oświadczeniach RODO kpiły teraz z niego. Więc po skonsumowaniu połowy jagodzianki, wypiciu kawy z cukrem, po bardzo przyjaznej rozmowie i gorliwych

zapewnieniach, że wszystko jest w jak najlepszym porządku – Edward opuścił gabinet pani kierownik, by dalej walczyć z cholernym zamkiem w drzwiach.

Nazajutrz po powrocie z cukierni pani kierownik czekała już na Edwarda na korytarzu i miała dla niego nowinę.

— Panie Edwardzie, mam dla pana propozycję. Podjęliśmy współpracę z pobliskim schroniskiem dla psów. Chciałabym aby część naszych mieszkańców mogła w ramach wolontariatu wyprowadzać tamtejsze psiaki. Nic skomplikowanego, ale wiem jak lubi pan spacerować, no i miał pan przecież kiedyś psa, prawda?

— Dalej go mam. – konsternacja na twarzy pani kierownik nakazała Edwardowi dodać — Nie tutaj, oczywiście. Jest w moim domu. Syn dogląda go codziennie.

Musiał przyznać, że ta jedna jedyna inicjatywa naprawdę przypadła mu do gustu. Pierwszy wyjazd był już jutro o ósmej rano, na poranne wyprowadzanie zwierząt. W tym czasie pracownicy mogli uprzątnąć kojce, a psiaki miały dawkę ruchu. To śmieszne, ale Edward z dziwnej ekscytacji obudził się już o piątej i ani myślał spać dalej. Zrezygnował także z wizyty w cukierni, bał się, że nie zdąży wrócić na czas. Cukiernia była czynna dopiero od siódmej. Zatem pierwszą osobą wsiadającą do busa był Edward. Schronisko teoretycznie nie znajdowało się daleko. Jakieś 8 kilometrów stąd, w sąsiedniej miejscowości. Na miejscu wszyscy seniorzy zostali serdecznie powitani. Wolno było im wybrać sobie kompana spaceru. Chodzili więc między kojcami i obserwowali poekscytowane pyski i merdające ogony. Edward przystanął przy jednej z bud. Pies w który w niej mieszkał leżał i ani myślał pomerdać ogonem. Zdawał się być zupełnie niezainteresowany nadchodzącym spacerem, w przeciwieństwie do innych zwierząt. Było w nim coś znajomego. Przypominał trochę Wilczurą, ale przecież jego pies był w domu, tam gdzie jego miejsce. Pies podniósł łeb i spojrzał w oczy Edwarda. Był w tym wzroku jakiś wyrzut. Jakieś oskarżenie. Jakby pies miał do niego pretensje, że musi tu tkwić.

— Chciałbym wyprowadzić dziś tego delikwenta.

Pracownik schroniska bez słowa otworzył kojec, założył psu smycz i podał Edwardowi.

— Jeśli za panem pójdzie, to będzie prawdziwy cud. – rzucił pracownik i odszedł.

Nieco zszokowany Edward szarpnął lekko za smycz.

— No dalej Wilczur, nie mam całego dnia.

Na te słowa pies wstał i ruszył za mężczyzną. Wciąż lekko obrażony i niepewny. Udali się więc poza schronisko, leśną ścieżką. Z początku pies szedł kilka kroków za Edwardem. Nieufnie. Wkrótce jednak szedł krok w krok z nim, blisko nogi. Mężczyzna złapał się nawet na tym, że zaczął pogwizdywać. Dawno nie miał tak udanego dnia. Co prawda pies nie był jego, ale był wystarczająco podobny do Wilczura i tak też nazywał go przez cały spacer. Gdy zatrzymał się na chwilę, by zawiązać but, pies polizał go po dłoni. Doprawdy nie wiadomo dlaczego pracownik czepiał się tego biednego psa. Przecież jest całkiem przyjacielski. Nadeszła pora powrotu do schroniska i naburmuszony zwierzak wszedł do kojca, nawet się nie obejrzawszy. W pensjonacie Edward dużo rozmyślał nad swoim Wilczurem. Szczęściarz mógł zostać na wsi. Naprawdę stęsknił się za tą kupą futra. Chwycił za telefon i po raz pierwszy wziął sobie do serca to, co mówiono o pensjonacie: „To nie więzienie, panie Edwardzie”.

— Ojej, tato, ale po co? W domu wszystko w porządku. Tak, palę w piecu regularnie. Nie ma wilgoci. Wilczur dobrze. Naprawdę chyba nie ma potrzeby żebyś przyjeżdżał. Wiesz co, ja nie mam jak cię zawieźć, bo teraz dużo pracuję.

— Przecież i tak codziennie jeździsz tam napalić w piecu i nakarmić Wilczura, prawda? Co to za problem podjechać po mnie tutaj. I pojedziemy razem.

— Ojej, no... hmm....

— Arek, do cholery. Posłuchałem was i poszedłem zamieszkać w tym waszym pensjonacie. Nie mam za wiele do roboty. Czy ja za dużo od ciebie wymagam? Przyjedź po mnie jutro po pracy. Chcę odwiedzić mojego przyjaciela.

Edward rozłączył się i gdyby tylko mógł, trzasnąłby telefonem o ścianę. Arek i te jego soczewki, praca zdalna, idealna żona Karolina, która ucięła Edwardowi kontakty z Pawełkiem. *„On już nie może się nim zajmować. Jest za stary, nie ma refleksu. Nie wystarczy już tylko puścić chłopcu bajkę. Tak, wiem że się lubią, Arek, ale dziecko musi być bezpieczne”*. Sojowa Pani Domu, jak zwykł nazywać synową, nie zdawała sobie sprawy, że tuż za szpitalną kotarą stoi Edward i słyszy wszystko. Łącznie z potakiwaniami jego własnego syna. Wnuczek chyba nie widział na oczy normalnego jedzenia. Chrupki z soczewicy, mleko owsiane albo chociaż odtłuszczone i bez laktozy. Na przekąskę marchewka w słoiku i jakaś pasta hummus. Markowe buty z których dzieciak wyrasta w dwa miesiące. Ubrania, których nigdy nie było wolno ubrudzić. Chłopczyk miał siedzieć grzecznie, najlepiej układać puzzle lub rozwiązywać zagadki logiczne pobudzające

pracę mózgu. Od czwartego roku życia miał lekcje angielskiego. Potrafił wymienić w tym języku wszystkie kolory tęczy, ale nie wolno mu było wziąć do ręki młotka i nauczyć się wbijać gwóźdź, bo przecież mógł się skaleczyć. Wychowywano go na płatka śniegu, a kiedy zabawy w Indian z dziadkiem okazały się być jedynym o czym Pawełek mówi przed snem, Karolina nie była zachwycona. Takie zabawy uczą przecież rasizmu i przemocy, niczego więcej. Gdyby dorabianie ideologii do niewinnej zabawy z pięciolatkiem było płatną profesją, Arek i Karolina byliby milionerami. I wielu im podobnych młodych rodziców także.

Cisza w samochodzie była krępująca. Jechali w milczeniu praktycznie całą trasę, oprócz zdawkowego „*Jak się masz tato*”, z ust Arka nie padło już nic więcej. Równie podobnie przebiegła droga powrotna. Z tą różnicą, że Edward odwrócony możliwie jak najbardziej do szyby pasażera ocierał ukradkiem łzy.

Tłusty paluch ekspedientki grzebał właśnie z pasją pomiędzy drożdżówkami, aby zebrać okruchy lukru i kruszonkę, która odpadła. Codzienny widok pana Edwarda nie dziwił jej już i ledwo podniosła na niego wzrok, aby odpowiedzieć „dzień dobry”. Tym razem jednak pan Edward miał na sobie znoszoną kurtkę i sporej wielkości plecak.

— Wybiera się pan na wycieczkę? – zagadnęła.

— Owszem, dziś mamy pieszą wycieczkę. Będziemy uprawiać nordic walking.

— Acha...

— No więc, poproszę tym razem 5 drożdżówek z budyniem i... Wie pani co? Niech będą jednak jagodzianki.

Edward wyszedł obładowany w jagodzianki. Widział po mimice sprzedawczyni, że przez jej umysł nawet przez chwilę nie przebiegła myśl „*gdzie u licha ten starzec ma kijki?*”.

Pan Edward wyszedł więc z domu. W plecaku było tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Reszta została, zamknięta na klucz. Na oba zamki. Telewizor, kilka par spodni i swetrów, garnitur, który chyba przezornie spakował mu syn na wypadek, gdyby Edward wybrał się na tamten świat. I wybierał się. Chociaż nie na ten, na który wszyscy myśleli. Na nogach miał sportowe obuwie. Po drodze oprócz jagodzianek udało mu się kupić dwie butelki wody i paczką przekąsek dla psa. Wiedział dokładnie dokąd zmierza.

”Pan Edward wyszedł z domu. Nie, nie wiemy o której. Wczoraj był u niego syn w odwiedzinach. Zachowywał się normalnie. Tak, taki średniej budowy i średniego wzrostu. Nie choruje na nic poważnego. Nie, jeszcze nie kontaktowałam się z panem Arkadiuszem. Dobrze, tak. Mamy aktualne zdjęcie. Prześlę mailem na adres komendy. Tak. Tak. Nie, pan Edward nie miał tutaj żadnych konfliktów. Dobrze. Dziękuję. Tak, będę informować”.

— Ja chciałbym adoptować tego psa.

— Wie pan, ale to tak nie działa, jest odpowiednia procedura. Musi pan najpierw wypełnić wniosek, a potem...

— To mój pies. Został tu przewieziony przez pomyłkę. Jestem jego właścicielem.

— No... A ma pan zaświadczenie od weterynarza? Albo jakiś dokument szczepień? Ten pies jest tu już kilka miesięcy, przecież musiał pan wiedzieć wcześniej, że zniknął...

— Chcę, żeby mój pies wrócił do swojego domu, dlaczego musicie to utrudniać? Nie na tym polega wasza praca tutaj? Żeby szukać im domu?

— Tak, ale...

— Wilczur idziemy! – Edward wyminął pracownika schroniska i otworzył kojec.

— Ale co pan wyprawia! Tak nie można!

— Wilczur chodź. Wracamy do domu.

Pies jak na komendę wstał i zaczął iść za oddalającym się Edwardem.

— Ale co pan sobie myśli? To jest kradzież! Tak nie wolno, co ja mam teraz wpisać w dokumentach?!

Edward zatrzymał się, wolno obrócił w kierunku pracownika i wypalił:

— Od kiedy odbiór własnego psa jest kradzieżą? Jak dla mnie, możesz wpisać w dokumentacji dwie rzeczy. Po pierwsze, że pies nawiał i nie macie pojęcia gdzie się udał. A po drugie, że jesteś dupkiem żołądnym.

To powiedziawszy Edward ruszył w kierunku wyjścia, gdzie czekał już na niego Wilczur. Zostawił pracownika schroniska aka dupka żołądnego w kompletnym osłupieniu.

Kiedy w kominku huczał już ogień aż miło, na stole leżały kanapki z pasztetową, a Wilczur leżał w pośnaniu z nową kością, Edward poczuł się naprawdę odprężony. Już od trzech dni był w swoim domu. Wbrew obawom nie odwiedził go żaden hycel, pracownik pensjonatu ani nawet jego własny syn. Dziwne, przecież w „Jesiotrze” na pewno podniesiono wrzawę, że zniknął. Jego dom to przecież pierwsze miejsce, gdzie powinni go szukać. A nawet gdyby pracownicy socjalni i wszystkie służby nie wiedziały o jego przywiązaniu do domu na wsi, Arek powinien był to wiedzieć. Trzy dni błogiego spokoju. Może to i lepiej. Przecież tego właśnie chciał – spokoju od wszystkiego i wszystkich z wyjątkiem psa. Tylko telewizora jakoś mu brakowało. Jednak nie do końca tego oczekiwał jeśli chodzi o postawę dorosłego syna.

Po czterech dniach do drzwi rozległo się pukanie. Spodziewał się policji, pracowników Ośrodka Pomocy Społecznej, służb porządkowych, wizyty oddziału Wojska Polskiego. Pod drzwiami zastał tylko Arka, panią kierownik i małego Pawełka, który natychmiast rzucił się Edwardowi na szyję.

— Panie Edwardzie... – zaczęła kierowniczką „Jesiotra”.

— Tak, tak, wiem. – przerwał jej — Jest ze mnie nieodpowiedzialny, stary dureń. Napędziłem wam stracha. Musieliście powiadomić policję. Zmarnowaliście środki państwa na poszukiwania. Ukradłem swojego własnego psa. Żyjemy w kraju absurdu. Nigdzie z wami nie wracam. Zostawcie sobie rzeczy, tylko telewizor moglibyście mi przywieźć.

— Tak, tato, ale... – wydukał Arek.

— Żadne „ale”. Nigdzie nie jadę. Nigdzie nie wracam. To jest mój dom. Umiem napalić w piecu. W przeciwieństwie do ciebie nie jest to dla mnie niemożliwy do podjęcia wysiłek. Martwicie się o mnie zupełnie niepotrzebnie. To wy widzicie problem w codziennym nakarmieniu psa, nie ja. Trudno wam przyjechać tu raz dziennie, na głupie pół godziny. Pozwólcie, że was wyręcę. I chcę widywać Pawełka. Musimy dokończyć „Zwierzogród”. – Edward odwrócił się i zobaczył jak wnuczek leży obok Wilczura przy kominku i bawi się jego uchem.

— Panie Edwardzie, wystarczyło tylko złożyć rezygnację, po co ta ucieczka...

— Ale jaka ucieczka? Ja tylko wyszedłem na bardzo długą, pieszą wycieczkę. Przecież mieszkanie chronione to nie jest więzienie.

